

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 1 grudnia 1917 roku.

Nr 48.

Wokoło winy i kary.

Nowa polska praca kryminologiczna.

P. Wacław Makowski wydał pierwszy tom oryginalnej pracy „Podstawy Filozofii prawa karnego”, przepelnionej niezmiernie interesującymi i metodycznie ułożonymi faktami historycznymi. Autor jest pozytywistą jako filozof, dokładniej mówiąc: ewolucjonista; opierając się z pewnym przyćmieniem o grunt psychologiczny, nie poddając wszakże swej badawczej myśli żadnemu hamującemu działaniu doktrynalnemu, usiłuje p. Makowski wyprowadzić szereg wniosków o dwóch zasadniczych pojęciach kryminologii: przestępstwie i karze, z materiału faktycznego, w wielkiej obfitości nagromadzonego i starannie a bez widocznych uprzedzeń opracowywanego.

Rezultaty, do jakich nasz uczony dochodzi, nie mają też owego pożądanego kształtu geometrycznej regularności, tak miłego wszystkim racjonalistom. Empiryk przekonany, nie odkrywa p. Makowski żadnej „zasady wielkiej”, której ruch dialektyczny stwarzałby łańcuch powiązanych z wytwornością logiczną pojęć. Nie poszukuje i nie odnajduje w dziedzinie prawa karnego Tain'owskiej „idée maîtresse”, pojęcia twórczego, któreby w swych logicznych wnętrznościach niosło całe konieczne i z góry ustosunkowane harmonijnie formy. Widzi on życie, rozwijające się mozolnie, uległe przypadkowi, kształtowane w głównych momentach przyczynowo i z niejaką regularnością, ale przybierające mnóstwo form, zależnych od miejsca i momentu.

Poddawszy bystrej analizie pojęcie kary, opartej na długim przeglądzie przeszłości, dochodzi p. Makowski do wniosku, że kara jest *zlepkiem mechanicznym*, w którym niezupełnie do końca przeżyty odwet naszych przaojców wiąże się jeszcze nierozrwalną nicią ze średniowieczną i religijną elementarną przesiąklą ekspiacją, nie dając się, jedno ani drugie, wyrugować do szczytu przez nowoczesną i pozytywną troskę o bezpieczeństwo, ochronę społeczną.

P. Makowski w ten sposób jest najbardziej kompromisowy w swych naukowych poglądach z warszawskich kryminologów, wobec prof. Mogilnickiego, który istotę kary sprowadza w całości do ochrony społecznej, i prof. Rappaporta, który dopuszcza, w mniej jednak stanowczy sposób, i inne elementy do udziału w funkcji kary.

Tom pierwszy pracy p. Makowskiego zawiera dwie odrębne części: „Pierwotne środki obrony społecznej” i „Doświadczenia prawno-karne”. Jest to właściwie tom przygotowany do właściwego przedmiotu autora, bardzo ważny przecież, ponieważ nam odsłania jego metody i zapoznaje z mechaniką jego rozumowania. Tom drugi zawierać będzie zagadnienia winy, odpowiedzialności, psychologii kryminalnej i wreszcie część wskazaniową: politykę kryminalną.

Ale kiedy nasza nauka otrzyma ten tom drugi?

Pewne obawy się tu rodzą. P. Wacław Makowski jest obecnie wicedyrektorem Departamentu Sprawiedliwości. Pracy spadł nań ogrom. Dzieło, które dziś otrzymujemy, jest owocem dawniejszych studiów. Uczonych o równie tęgiej myśli, jak autor „Podstaw Filozofii Prawa Karnego”, posiadamy wogóle garść nikłą. Jednemu z nich oto państwowość polska zabiera najlepsze lata z życia. Nie będzie to zapewne wypadek odosobniony. I musimy być przygotowani na to, iż rekonstrukcja państwa naszego nie odbędzie się bez ofiar, nieraz dotkliwych.

*

Nasze pismo nie może być terenem dla krytyki dzieła tej miary. Prasa zawodowa, która, na szczęście, organizuje się w pewien komitet dla poradzenia całości swych zadań, zajmie się dziełem p. Makowskiego. Ale to dzieło nie tylko nauczyciela polskiej, lecz i kultury polskiej coś przynosi. Nietylko zawodowy kryminolog wstawia je do swej podręcznej biblioteki, ale i każdy wykształcony człowiek przeczyta z korzyścią, często pomieszaną z rozkoszą, jaką daje podróż w nowe światy intelektualne. Bez najmniejszej przeto pretensji do krytyki, podajemy tu o tej pracy garstkę prostych i z konieczności ułamkowych informacji. Z obowiązku aktualności, jaka ciąży na dziennikarzu.

W istocie, człowiek, którego myśl choćby raz uderzona została przez głębokie przekształcenia, jakim ulegały ludzkie społeczeństwa w biegu wieków, niemało odniesie korzyści, jeżeli spojrzy na odsłaniane mu przez p. Makowskiego zwroty, jakie ze stanowiska kary ludzkość dokonała parokrotnie. Po raz pierwszy, gdy ustrój społeczno-rodowy prze-

chodził w terytorjalno-państwowy, a nowe czynnik przerabiał instytucje wróżdy i pojednania na kary, wykonywane przez uregulowaną w organach państwowych przemoc. W wieku osiemnastym (dochodzą do dojrzałości nowe pojęcia społeczne, a wraz z nimi i będące ich funkcją pojęcia karne, — a dochodzą w naturalny sposób w krajach, gdzie tak zwany wymiar sprawiedliwości zdołał się wznieść na stosunkowo najwyższy stopień: a więc przede wszystkim we Francji, która w tak zwanych parlamentach posiadała najlepszych zawodowych sędziów i w Anglii, w której od czasu rewolucji 1668 roku prądy liberalne rozwinęły znamienne udziały wolnych żywiołów społeczeństwa w funkcjach, uważanych na kontynencie za bezpodzielną własność rządowych organów. Rewolucja francuska daje kształty przygotowanym pojęciom o woli zbiorowości, o „umowie społecznej“, przygotowując sama pojęcie solidarności, które się tak rozwinie i tyle rozświeci w wieku następnym. Odwet, — ekspiacja — schodzą pod wpływem tych nowych czynników na plan dalszy. Ochrona społeczna, zabezpieczenie spokoju i owocu pracy jednostki, występują na plan główny.

W perspektywie historycznej bardzo wiele faktów, nam znanych ze stanowiska dzisiejszych pojęć, przybiera ciekawą i często niespodziewaną postać. Takich zadziwień czeka czytelnika książka p. Makowskiego mnóstwo. Dla ilustracji jedno z nich tu wybierzemy: Gilotyna wydaje się nam dziś okropnością, — przestępstwem wobec ludzkości dla jednych, smutną po nad miarę koniecznością dla innych. Iluż jednak wykształconych ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, że wynalazcą tej maszyny śmierci był, doprawdy, dobroczyńcą ludzkości? Jednak wystarczy przeczytać choćby sentencję wyroku śmierci, dokonanego na trzech złodziejaskach we Francji w 1783 r., a więc na sześć lat przed rewolucją, — przytoczoną przez p. Makowskiego, aby ocenić dokonaną przez dr. Guillotina reformę. Otóż ci trzej przestępcy skazani są na to, aby „mieć żywe łamane ramiona, lędzwie i krzyże przez wykonawcę wyroków wysokiej sprawiedliwości, na rusztowaniu, które w tym celu będzie wzniesione w Chaumont na placu publicznym. Później każdy z nich będzie umieszczony na kole, twarzą zwróconą ku niebu i pozostanie tak, dopóki Bogu się spodoba zachować ich przy życiu“.

Ten wyrok jednak sądowi samemu wydał się zbyt okrutnym. I aby

go zmiekczyć, a jednak pozostawić mu w całości jego walor wychowawczy, odstraszający, dodano tajną, samemu tylko katowi oznajmioną klauzulę:

„Wymienieni zbrodniarze będą potajemnie uduszeni niezwłocznie po tem, jak każdy z nich otrzyma po trzy ciosy przy życiu“.

Przeczytajmy bezpośrednio potem projekt prawa d-ra Guillotina, który znosi wszystkie tortury i ustanawia odpowiedzialność równą dla wszystkich:

„1) Za jednakowy czyn — jednakowa odpowiedzialność dla wszystkich, niezależnie od stanu, 2) odpowiedzialność wyłącznie osobista bez rozciągania kar hańbiących na rodzinę skazanego, 3) zniesienie konfiskaty majątku skazanego, 4) w każdym wypadku wydanie ciała rodzinie i pogrzeb zwykły, bez oznak i napisów hańbiących“. Wreszcie: „skazany będzie ścięty — ścięcie będzie się odbywało przy pomocy prostego mechanizmu“.

— Tak stanęła gilotyna, — mówi p. Makowski. — Tak też stanęły początki sprawiedliwości nowożytnej, jej podstawy, jej linie wytyczne.

Wraz z tem jednakże stanął i cały szereg nowych problemów, któ-

re wzbudziły nowe niepokoje wokół sprawy winy i kary, o wiele szersze i głębsze niż dawniej. P. Makowski, uczony obiektywny, pozytywista, empiryk i ewolucjonista, z chłodem zawodowca patrzy na te wszystkie sprawy, nawet budując „Filozofię prawa karnego“. Jakikolwiek przecież będą wyniki ostateczne dociekań uczonego na tym gruncie i w świetle takiej metody, można być pewnym, iż „nie podziela one myśli bez reszty“. Pewne konieczności i pewne wysiłki, aby im się nie poddać, wyrrywające się z głębi istot żywych i z tła społeczeństw, którym po swojemu dał wyraz De Maistre w swej nieśmiertelnej karcie „o kacie“, po raz pierwszy, jeżeli się nie mylimy, przełożonej na polski język przez p. Makowskiego, będą się i nadal nie równoważyć.

Jaki one przybiorą kształt pod działaniem myśli p. Makowskiego w dziedzinie odpowiedzialności i polityki kryminalnej?

Kto zapoznał się z pierwszym tomem pracy p. Makowskiego, ten, choćby stał na gruncie innych metodycznych i filozoficznych założeń, oczekiwać będzie tomu drugiego „Podstaw Filozofii Prawa Karnego“ z żywą ciekawością.

Alb. Pawłowski.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

56

— Monsieur Pawłowi! — przedstawiała Irenie Serż hrabina.

— Czemu nie kazał pan przedstawić się wcześniej? — podkreśliła bardzo lojalnie Irena bez pensjonarskich miniek dawną niemą znajomość.

— Ja nie śmiałem — odrzekł z rosyjską Serż z niezbyt szczerą naiwnością, zaczerwieniony, niewiedząco, czy wskutek zmieszania, czy wskutek winy; najwidoczniej już no bardzo przeciągłem drugim śniadaniem.

— O! Biedactwo! Po co ten bluff? Nie gramy ze sobą w pokiera — rzekła, patrząc mu w oczy ze spojrzeniem, najwidoczniej mówiącym mu:

— Dziękuję. Nie straciłeś nic na poznaniu. Masz miły głos. Nie rozczarowałam się.

— To nie bluff! Żadnej gry z panią grać nie chcę. U mnie natura prosta. Ja nie śmiałem zbliżyć się.

— Nie wiedziałam, że oficerowie są tak bojaźliwi. Czy jestem tak

straszną? Bał się pan, że przyśnię ci się w nocy?

Przestał z miejsca być dzieckiem. Usiadł bardzo blisko niej na fotelu i, przechylając się napastniczo i całując ją oczami, wyjawiał jej słowa, już nie z pierwszych ust przez Irenę słyszane!

— Vous savez, madame: Ja nie raz śnił o was. Jej Bogu. Ale na mój wkus u panj trzy niedostatki: Pani jest za dużo piękna, przytem trop grande dame i za mądra pour une canaille, comme moi. A ja człowiek prosty; przytem pijanica, krugom durak!

— Ah! Non par exemple! To jest z pańskiej strony fishing fort compliments. Podobno pańscy ziomkowie zwykle udają naiwniejszych, niż są w istocie.

— Nie! Jej Bogu! I na żadnym języku wyrazić się porządnie nie umiem! ani na francuskim, ani na polskim. A już najgorzej na ruskim.

Chciałby swoją myśl jasno wyrazić, a wychodzi, czort wie co! Prosto, — czepucha!

— A jednak ten pański volapüek okazał się dostatecznym do zwyczajstw miłosnych. Kobiety cię poimowały.

— I żał, że dumały rozumieć taką skatynę! Żał wszystkich! — wpatrywał się w nią uparcie, pochłonięty nagle jakimś beznadziejnym smutkiem, z którym naprawdę było mu bardzo do twarzy.

Po chwili milczenia spowiadał się ze swoich najskrytszych win — nie pytany:

— Bo widzi pani, u mnie dzieło w tem: serce u mnie dobre, a dusza — podła. Kiedy ja był jeszcze rebionkiem, miał ja białą kotkę angorną, którą bardzo lubił. I pewnego dnia, ot tak prosto — wyrzucił ją z drugiego etaża przez okno won na ulicę. Kotce nogi połamały się. A ja w dińskim pokoju powiesił się z goria na kłamce. I z trudem ocalał się; a kotkę do łóżka brał i kompresy do złamanej jej nogi przykładał. I płakał potem, że kotka trzęsie się ze strachu i ucieka odemnie, bo już nie lubi mnie; bo wie, że padlec! A ja często postępuję z kobietami tak, jak z tą angorną kotką. I nie raz wieszać się z goria chce. A serce moje bezustannie toskuje, aby żyć daleko w dierewni z ukochaną żonką i z dziećmi. Cóż z tego, kiedy czort pcha do panien Blanchard, do kabaretowych szansonistek i cyrków. I żał mi mojej starej matki, która płacze, bo ona ma tylko serce moje — a nie duszę. I żał mi mojej młodości, mojego życia, na które nie warto i plewać!

— Wszyscy Rosjanie zdają się lubować w oczernianiu samych siebie. Znam was z waszej literatury. Posiadacie jakąś pasję wyszukiwania prawdy i nazywania rzeczy po imieniu. Jakąś maniérę naturalności.

— Tak. Może to u nas naturalność... A może maniera? Czort zna! Bo wot człowiekowi wydaje się, że on prawdę mówi; a on i wtedy jeszcze łże. A może ja i wcale nie lubił mojej białej angornej kosciki; a wprost nienawidził za to, że ona wiedziała, iż dusza u mnie podła?

— Vous-avez le vin triste, mon cher monsieur. Voilà.

Wygalonowana służba otworzyła drzwi jadalni, do której poczęły sunąć pary. Serż, skłoniwszy się z przesadą wojskową, podał ramię Irenie.

Pani Gizela wysiliła się, aby oślnić swoich gości. Podług tego jej pomysłu, może w niezbyt świetnym guście — cała sala z lasem ustawio-

nych, lśniących białą nakryć małych stolików — kapala się w różnokolorowym świetle elektrycznych lampek, które w formie szklanych owoców — dekorowały wśród świeżych kwiatów wijącemi się girlandami wszystkie stoły.

— Tiens! Que c'est gentil! — zachwycała się ze swoją stałą dworską uprzejmością pojętna uczennica hrabiny de Sommerive.

— Prelest! Jak noc Sylwestra w hotelu! — zdecydował złośliwie Serż.

— Teisez-vous! Méchant! — zgromiła go po macierzyńsku. — Mogą usłyszeć.

Siedzieli bardzo blisko siebie przy małym stoliku w jedynym sąsiedztwie przejezdnej z Petersburga do Bukaresztu belgijskiej konsulowej, flirtującej z jakimś publicystą z Londynu.

I Irena naraz uczuła, jak Serż swoim stałym zwyczajem przechylał się w rozmowie prawie ku jej twarzy, dotykał kolanami jej kolan tak, że znajdowała się cała, jakby w jego władczych objęciach.

Kładła jego śmiałość na karb szampana. Pomimo swego doświadczenia nie zdecydowała, co bardziej shoking, czy zgromić go, czy uważać za niebyłą tę niemą jego deklarację?

Prowadzili najbanalniejszą rozmowę, racząc się małemi kęskami kolejno podawanych przez liczną służbę: filet de soles, chaud-froid z jarząbków, pieczystego z bażantów, zapijając obficie szampanem.

Potykając się pomiędzy stolikami, ze swoim nieodłącznym face à main — honorowała ich hrabina Sylwia, obmawiając po swojemu panią Gizę:

— Ona nie dorosła jeszcze do prostoty w pomysłach! Ryba z truflami, pasztet i pieczyste z truflami! Może jeszcze i lody podadzą z truflami! — odeszła od ich stolika, żaląc się:

— Nie cierpię robić honorów gospodyni u mnie w swoim domu. Ale trudno!

Spłoszeni jej trzepotaniem, przez chwilę milczeli, nie zaprzestawszy swej głównej niemej rozmowy — oddaleni o milę od gwaru światła, barw i woni — przemienieni doszczętnie w jedno wspólne tytaniczne pragnienie miłości.

— Przyjdzie pani do mnie jutro o godzinie piątej? — zbrutalizował ją naraz słowami dalszego ciągu niemej rozmowy.

Odsunęła się od jego krzesła.

— Czy chce pan zapoznać mnie z panną Blanchard?

— Nu, pozwólcie. Ona nigdy u mnie nie gości; to ja ją tylko odwiedzam. Jej ideałem jest lukratywna synekura. Będzie rada, kiedy do niej nie przyjdę i nie potracę jej tego z miesięcznej pensji. Pani przyjdzie?

— Będziemy mówili teraz o czym innym. Czy wysyła pan w tym sezonie swoje konie do Chantilly?

— K czortu z końmi! — buntował się bardzo zły.

Śród ucztujących zapanowało zaniepokojenie, spowodowane oryginalnym konceptem silącej się na prostotę gospodyni. Oto służba roznosiła wielkie kosze, płaskie i sztucznie omszone, niby stare kójce, w których na słomie leżały rozłożone kurze jaj; a w nich goście po rozłupaniu nieznacznie złożonych prawdziwych skorupki — znajdowali lody. Po lodach roznoszono owoce, cukierki; wreszcie goście powstałi ze swoich miejsc.

Ugrupowali się teraz gwarnemi parami w tłumnie napelnionej, świeżo wentylowanej wielkiej sali balowej, chłodniejszej teraz od jadalni.

— Nu, Panj przyjdzie obejrzyć Lenbacha? — upierał się Serż despotycznie — milczący, zły, flirtem i winem ostatecznie wyczerpany.

— Lenbacha?

— Tak. Ja kupił go w Berlinie w galerji Schultego; zapłacił 30 tysięcy marek. Podobizna Turgenjewa, czy innego czorta.

— Jestem ciekawą przekonać się, czy pan się nie myli.

— Jestem pewny.

— Pewny? Lenbacha, czy mnie?

— Tego, że pani jest ciekawą.

— Pana, czy Lenbacha?

— Jednego i drugiego.

— Być może.

— Tak co będzie?

— Przyjdę... lub nie.

— Nu! Ładno!

— Godzi się pan zarówno na jedno, jak i na drugie?

— Ni jak nie! Pozwólcie! Jakże? Godzę się tylko na jedno.

— Mianowicie?

— ... Że nie będę czekał daremnie — pocałował ją przeciągle w rękę. — Nu, a teraz mnie trzeba skurzyć papieroskę — skłonił się elegancko z oficerską rycerskością i znikł w tłumie, dążąc do fumoiru.

W wielkiej sali uciszyło się. Do fortepianu zasiadł Michałowski, i Irena, rzuciwszy się w fotelu w kącie sąsiedniego małego salonu, wsłuchana w dźwięki Szopena — dumiała o swojej rozpoczętej grze.

Ze znajomością duszy ludzkiej — doszła bardzo łatwo do wniosku, że myliła się co do Serża. To nie jest, jak sądziła — zepsuty, dobry, naiwny chłopiec, który — uszczęśliwiony jej miłością — będzie się w proch tarzał u jej stóp, niby zakochany młodzień- czy paż u kolan królowej.

— Nie; to nie jest wcale naiwny dobry chłopiec! Obie siły są zupeł- nie sobie równe. A jeżeli to on zmia- dzy mnie na pył i w przepaść straci?... A więc czy nie lepiej dać za wygraną i abdykować?

Rozejrzała się dokoła. Dźwięki Szopena — tą nadziejską słodyczą irytowały ją. Raził ją zgrzytem ten ideał z innej parafii, z innej planety, spadły jak meteor w błoto zebranego tutaj tłum z jego instynktami i z u- krytą pod suknią balową nizkością u- czuć i moral insanity.

Mimowoli oko jej padło na sie- dzącego w drugim końcu salonu — Horskiego, o którego istnieniu co- prawda dziś zapomniiała.

I drgnęła z najwyższą niechęcią, badając jego starą obwisłą twarz i zaspaną minę, z jaką udawał, że wsłu- chuje się w muzykę, której, wiedzia- ła doskonale, że nie lubi, nie rozumie i nie zna się.

Była przekonana, że troska się w tej chwili jedynie swą długą- mi, niezapłaconem komornem i gro- żącą im ruiną, której się boi, jak śmierci.

Podobny zupełnie do starego Dul- skiego z Piwnej ulicy! — zbyła go, powracając do porzuconych myśli, syczących jej w mózgu:

— Mam odchodzić od gry z o- bawy niebezpieczeństwa i abdyko- wać?

— Abdykować! — rzuciła prawie głośno. — Nigdy! Abdykacja — to skwitowanie z niespodzianek życia, to tchórzostwo przed hazardem, to zbławowanie, to słabość! Gorzej je- szcze! — zdradziła się sama przed sobą, że swojej głównej troski, która od niedawna czaiła się jadem w jej mózgu. — Abdykacja — to starość! — nazwała swoją zmore po raz pierw- szy po imieniu. — Drwię sobie z kol- ców! Kocham go; pragnę... Chcę być szczęśliwą.

W sali otoczony zbitym tłumem wielbicieli ukazał się Frenkiel, ze swoją charakterystyczną od natury maską aktorską, z jakimś niewyda- nym jeszcze manuskryptem w ręku.

Irena przedostała się do pogrą- żonego w myślach Horskiego:

— Głowa mnie boli. Jedziemy już do domu.

Wydostali się ukradkiem do hal- lu, w którym odnaleźli służącego, z

okrycią w rękę, który, okutaw- szy Irenę w jej płaszcz z jasnego je- dwabiu i sobolową etolę — pobiegł wynaleźć wśród stojącego przed willą baronowej szeregu ekwipaży — sa- mochód Horskich.

Usadowił ich, zamknął drzwiczki pojazdu i wskoczył na kozioł obok szofera. Samochód ruszył pędem a- leją ku domowi.

— Być albo nie być jutro u nie- go? — uśmiechała się, zmęczona wra- żeniami, z głową, przechyloną mięk- kim ruchem w poduszkach pojazdu — That is the question! Ej! Protopla- sto mój, rozpustny kasztelanu Kon- radzie! — cynizowała. — Widzę twój uśmiech, z jakim solidaryzujesz z ka- żdą moją awanturą. Czyżby twoja krew jeszcze nie osłabła? Śmiejesz się, stary awanturniku, i drwisz z na- grody Montijona! Czy posłuszna wnuczka powinna podzielać te zapa- trywania?

XXVII.

Nazajutrz Irena — rzecz prosta — nie poszła na umówioną schadzkę.

Jako doświadczony pijak, nie chciała jednym haustem wypić odra- zu całą czarę nektaru. Chciała prze- dłużyć zabawę, ciekawa chodu całej tej gry miłości, jak syty kot, bawią- cy się myszką.

— Cóż on sądził, — cynizowała, — żem żyła dotychczas na wyspie bez- ludnej w długim oczekiwaniu króle- wicza, spragniona, jak pensjonarka, pierwszej chustki padyszacha? Bie- dactwo! Jest naiwny z całym swo- im demonizmem! To raczej ja mam duszę podłą; nie on.

Lecz faktem, że spać nie mogła.

A całe dni schodziły jej na wy- śmiewaniu jego młodzieńczej naiwno- ści, na zachwytach nad własną trze- wością i na najdokładniejszym zdawa- niu sobie sprawy z każdej sytuacji. Lecz kiedy poza utratą snu odbiegł od niej i apetyt, kiedy widziała, że nerwy jej dygocą, jak sprężyny w ze- psutym zegarze, i że przez 24 godzin na dobę nie myśli o niczem, jeno o jego naiwności i o własnym rozumie — zadecydowała:

— A więc faktycznie on nie jest naiwnym dzieciakiem. I on ma swo- ją grę i taktkę: chce mnie przetrzy- mać. Nie myliłam się, że to jest ka- nalja!

Lecz pomimo, że doszła do tego przekonania, nie przestawała myśleć ani o jedną godzinę mniej na dobę o kanalii, niż o dawnym naiwnym dzieciaku. Wreszcie po bardzo dłu- gim tygodniu usłyszała zaczerwienio-

ną po białka oczu ukochany głos je- go przez telefon:

— Czekałem tydzień. Jeżeli pani jutro nie przyjdzie — jej Bogu — spalę Lenbacha.

— Lepiej, aby Lenbach się spa- lił u pana, niż ja.

— Pas de danger, chère madame. Marmury są ogniotrwałe.

— Skąd pan wie?

— Z mineralogii.

— Ach! Pan mówi o marmu- rach!

— Alors! Vous viendrez prendre une tasse de thé chez moi?

— Rzec postanowiona — spali- ła ni stąd ni z owad mosty poza so- bą. — Nie chcę przyczynić się do wandalizmu wobec sztuki; będę ju- tro u pana Etes-vous content?

— C'est gentil de votre part.

— A bientôt.

— Merci.

— Nie jestem owieczką, którą łada wilk może zdusić — pocieszała się po pensjonarsku. — Odwiedziny garsoniery — to jeszcze nie upadek; zależy przecież nietylko od niego, lecz i odemnie.

W następstwach okazało się je- dnak, że nie była z marmuru, lecz z kruchej gliny ludzkiej.

Teraz — od kilku już tygodni od- wiedzała go codziennie. A wszystkie jej złe przeczucia, jak tanie pesymi- styczne prorocтва — spełniły się co do joty.

Miłość ta nietylko, że szczęścia jej nie dała, lecz — wprost przeci- wnie — zwiększała wraz z najbole- śniejszą przykrościami, które tą z nim wiązały — jej ból życia.

I z głowy Ireny nie wychodziła opowieść o białej angorowej kotce, w której cierpieniach Serż tak się lu- bował.

Czy mienawdził jej, kiedy ją u- dręczał, czy kochał wtedy, kiedy pie- legnował? A ona sama? Czy kocha jego serce, czy też mienawdzi jego duszę? A może kocha właśnie jego podłą duszę?

— Nie wiem, nie wiem, nie wiem... Czuję tylko, że taką miłość jest mę- czarnią.

Wybaczała mu wszystko: i o- pryskliwość i drobiazgową złą sprzeczność, upór, brutalność i złe wychowanie.

Lecz jej pięta Achillea, raniła naj- dotkliwiej tak często spotykana u wie- lu mężczyzn jego pogarda, jaką czuł dla każdej kobiety, która stała się je- go kochanką.

Dalszy ciąg nastąpi.



Och, mów tak do mnie.

Z cyklu „Serce”.

Och, mów tak do mnie tym dawnym
imieniem
dziś, gdy już tylko łan pamiętek żeniem,
i gdy na moment odzyskał cię znów.

Tyle się ostrych wżarło we mnie kłów
od tej bolesnej przedostatniej chwili,
gdyśmy swe serca w fali zatopili.

Żem już niczego nie pomnił prócz mąk.
Dziś przyleciało twe słowo skrzydlate
i wyzłociło swym blaskiem mą chatę.

Jako monstrancję wziąłem je do rąk,
nim się raduję i tajemnie pieszczę,
nie chcę dziś wiedzieć, że losy złowieszczę

każę za radość zapłacić stokrotnie,
że ból mi piersi jak lancetem potnie
i że się zbudzi krwawych myśli huf.

Nie to, ty do mnie tak, jak dawniej mów,
do świadomości mej zapamiętania.
Niechaj przepada cień, co tu się stania,

cień wspomnień dawnych i miłości mar.
Żyjmy tą jedną, niespodzianą chwilą,
w której się smutki od nas precz uchyla,

w której przyniosłaś mi bezcenny dar...
Nie to, że potym krwią opłynę krasną
i że przedemną wszystkie światła zgasną,

że znowu będą bez czucia, bez wiary,
wiatrem goniony jako popiół szary,
że zmierzy we mnie tysiąc żalu łuf.

Nie to, ty do mnie tak jak dawniej mów,
och, mów tak do mnie mym dawnym
imieniem,
dziś, gdy już tylko łan pamiętek żeniem.

Leon Chrzaniowski.

Stanisław Falkiewicz.

NOWELA.

Ordynans bojowy.

3

Parkiem dworskim, kędy błądził
wczesnym wieczorem, targał wi-
cher, przewalając po niebie bryły
chmur ciężkich. Połowa liści legła
już u stóp starych drzew. Wiatr ni-
mi miotał, z alej w aleję ciskał. Chwi-
łami kładł się zmęczony na ziemi i
jak pies warował.

Błądził zanieśionym kurzawą li-
ści ścieżkami i pożółkły trawnika-
mi. Liści lecących wichura, kroków
szelest i gałęzi szept niosły się po du-
żym parku Strykowskiem.

Poprzez czarne magie pręty i ga-
łęzie błyszczało światło w oknach,
gdzie stanął Komendant ze sztabem.

— Niedaleko Dęblin. Prusacy już
się biją. Słychać czasem dudnienie
armat.

— Komendant dziś mówił, że nie-
długo w bitwę i my wpadniemy wiel-
ką... — wtajemniczał Stasiek brata.

Późna już jesień. Dalekie, dro-
gie ogrody i pola otoczyły ich krę-
giem. Wychyliły się z pomroki twa-
rze najdroższe, słowa, lzy i błogo-
sławieństwem matczyne. Szli, a wicher
wraz z wonią wędnącej trawy i
schnących liści nanosił wspomnienia.
Żal niewytłomaczony — czy dni, czy
zdarzeń, czy przeczucie i lęk — ści-
snął piersi.

Brat streszczał epizod z wypra-
wy patrolu Słomki, który ze Szczu-

cina aż pod Połaniec w połowie wrze-
śnia doszedł, języka o nadciągającej
kawaleryjskiej nawale zaciągnął i na
małe oddziały rozsypał, przebił
się wśród starców z dragonami i kozaka-
mi ku Wiśle.

— Wpadliśmy do wsi jednej pod
Połańcem we trzech. Józika z prze-
strzelonym udem ledwie donieśliśmy.
Chłopstwo przywitało nas z dzięką i
poziurą niechęcią. Drogą najbliższej do
Wisły nikt nie znał — choć rzeka
tam blisko, niecałe dwie mile. Chłop
jeden nas przestrzegał, że kozunie
się kręcą i że niebezpiecznie się za-
trzymywać dłużej.

— Djabel nie śpi, a niejednego go
za pieniądze gotów naprowadzić i
wydać. Ten zaprzeczony — pokazał
czarnego chłopca.

Drzwi mocno zaparliśmy skrzy-
nią. Antek przy oknie stanął, a ja
Józikowi ranę jodyną zalewałem i ban-
dazuję. Ledwie opatrunek założyłem,
daje znać brat, że się zbliżają. Pa-
trzę: cha, Chryste Panie — chłop
czarny ich wiecie. Pluton drago-
nów. Starszy z chłopem mówi, pie-
niądze odlicza. Ładunków my mieli
ledwie po kilkanaście.

— Starszego Antek bier!

Huknęliśmy naraz. Starszy jeich
z konia zleciał i chłop czarny w tej
samej chwili na ziemię runął. Rozsy-

pał się nigiem po polu, z koni zsie-
dli i w naszą chałupę prażyć zaczęli.
Co który jednak wychylił głowę z za-
naci kartoflanych, kulę brał i jak za-
klęty, milczał. Od Józika naboje
wszystkie wzięliśmy. Pod noc, gdy
zmiarkowali, że nie poredzą, ognia
zaprzestali i odjechali. Wyszliśmy z
chałupy, Józika na wóz zarekwiro-
wany wsadzili i ku rzece. Patrol był,
jak się patrzy...

Włóczyli się po miasteczku, gry-
ząc landrynki i kurząc papierosy.
Brudne potwornie, żydowskie uliczki
i zablokowany rynek w świetle po-
chmurnego dnia raziły oczy szpetotą.
Ale zawsze miasto, nie wieś, jakich
setki w marszu minęli. Komendy ró-
żne po domach austriackie, ordynansi
nasi na zmydlonych koniach, samo-
chody błotem bryzgające i żydow-
stwa zastraszonego grupy. Kolumny
przechodziły szosą, z pod Kraśnika
i Puław dążąc na zachód w stronę
Radomia.

Zawędrowali przed kościółek nie-
duży, skromny, wieńcem lip ocienio-
ny. Przed drzwiami sanitariuszy
spotkali niemieckich. Na progu ude-
rzyła w nich fala niespodzianego wo-
stęchlizny, potu i karbolu. Popatrzyli
zmrużonymi oczami w mroczną na-
wę. Groza gardła ścisnęła. Kościół
cały, wysłany stłoczoną słomą, co nie-
regularnymi, stłamszonymi falami
wciskała się w boczne kapliczki. Tam
i sam wysterczały z głębi ręce lub
głowa szmatą brudną obandażowana,
plama szynela lub butów. Pod chó-
rem lekarze niemieccy w rękawicach
gumowych dokonywali operacji na
dwóch jeńcach. Pomagał i tłoma-
czył doktor rosyjski, w niewolę poj-
many.

Cichy, zmęczony ciężko leciał na
kościół z bezkształtnej bryły ciała o-
palonego, zbryzganego krwią na sto-
le operacyjnym.

Zaszli do bocznej kapliczki.
Wiódł ich sierżant, czegoś szukając.
Stanęli, a ze ściany koło małego o-
kratowanego okna pochyliło się nad
nimi i nad nędzą kościółka popiersie
dostojne w kontuszu. Twarz senator-
ska, zaduma, powleczone, oczy duże,
pogodne patrzyły na zawieruchę, ja-
ka światem niewiadomo po raz któ-
ry zatargała.

— To ten, któregoście, sierżan-
cie, szukali? — pytał Stasiek.

— Tak. Kochanowski, poeta.

— Kiedy żył?

— Dawno, kiedy najjaśniejsza
rzeczpospolita dosięgała szczytów po-
tęgi i szczęścia.

— I warto było po to tu wcho-
dzić?

— Odwiedziliśmy wielkiego człowieka. Choć obcy on nam i jego świat. Ani my jego słonecznej pogody, ani on nas nie rozumie. Dalekie my dwa światy... — medytował głośno sierżant, Profesorkiem zwany, którego z zasłużonych wywczaśów wakacyjnych porwała fala wojenna.

Ostatnia noc.

W wioszczynie schludnej, wśród boru na piachach radomskich schowanej. Sosny wciskały się do ogrodów i sadów, niejedno gontowy dach ocieniały i w niejedno zaglądały okno w milczeniu. Zapach żywiczny wszystkich szparami wnikał w gładkie jasne izby. I woń jabłek czerwonych, niedawno w komory zniesionych.

Pochłinną czarną noc wichry po polach rwały, chłoszcząc i pędząc bezlitośnie. Szum wiech i pny smukłych trzask spływały falami po wierchołkach lasu. Zła jesienna noc wchłonięła i zatopila dobre, ciepłe domki śródleśne.

Marcelle Capy.

Oddawna nie zaznał żołnierz takiej dobroci przytulnej ścian woniących, pułapów belami podpartych, zydlów i stołów przeczystych. I świętość dla oczu i krwi: ogień szczerobliwością i łaską buzujący na kominie. Ludzie dokoła milczący, mrokiem sosen spowici, lecz o oczach przejasnionych i twarzach, o jakich mówi ewangelje. Duszę zawierzyć można było i wszystką uciechę, jaka w ten ostatni wieczór się pojawiła, w ręce dobre złożyć i na złe czasy ostatek.

Milkły zwolna śpiewki żołnierskie po kwaterach i harmonik tony gasły światła po izbach.

Stasiek usnąć nie mógł. Leżał koło Profesorka, który przy świecy notował coś pilnie w pamiętniku. Fałę sosnowe raz wraz z poszumem i trzaskiem uderzały o dach i ściany. Choć izba była zamknięta, świeca chybotwała we wszystkie strony.

Dalszy ciąg nastąpi.

Przekład M. R.-r.

Głos kobiety wśród walk.

„Une voix de femme dans la mêlée” dotarł w tryumfalnym pochodzie aż do rowów strzeleckich i do wdowich poddaszy. Książka pani M. Capy pstrzy się od luk cenzuralnych, które nie mniej rzeszście pobielili także przedmowę Romain Rollanda. Duch francuski, zatapiający się z jednostronną zaciekłością w polityczne problemy wojny, z równą siłą umiał zareagować na jej potworność i obok dzieł Rosny’ego i Barbusse’a słyszymy kobiece wołanie tkliwe a przejmujące. Romain Rolland w przedmowie swojej wyluskał wszystko najistotniejsze z książki p. Capy. Ktoś, chcący poznać dokumentów epoki, przeczuciwszy dzieła Loti’ego, France’a i tylu innych, dyszących namietnością wojny, z uczuciem nowem przysłucha się głosowi p. M. Capy. Można by powiedzieć jej własnymi słowami: „C’est instinct qui crie”.

Tyle biedy i tyle też nazbierało się, że pisarce jakby nie stało odwagi na upiększenie dzieła rafinowanym słowem, skomplikowanym tłem. Pozostały tylko słowa, wyrzucone ze ściśniętego gardła, półokrzyki i półjęki, w których jest cała nieumniejszona prawda wojny, gorycz nie szczęścia i pustka osamotnienia. Dlatego głos ten brzmieć będzie długo i szeroko.

Przedmowa R. Rollanda do książki p. Capy.

Kobieta litościwa, która odważnie nie ukrywa swych uczuć.

— która nie chce wcielić swego głosu w chór zbrodniczych namietności, kobieta, prawdziwie francuska, lecz nie na „modłę Corneille’a”? Jakżeż ulga!

Radłbym nie urazić niczem biednych, starganych dusz. Rozumiem wszystką boleść i stłumioną czułość, kryjące się u tysięcy kobiet pod puklerzem rozpaczliwego uporu. Proszą się sztywnie, aby nie uledz. Chodzą, mówią, uśmiechają się — lecz łona ich są rozdarte i serca ociekają krwią.

Od dzieciństwa wypacza nas wychowanie państwowe — za pokarm nam dając kaznodziejski ideał, zgrabnie wykrojony z płatów wielkiej, starożytnej myśli, rozplamieniony geniuszem Corneille’a i chlwałą Rewolucji. Ideał, który tak hojnie poświęca jednostkę państwowości.

Dla umysłów biernych pod taką dyscypliną — życie staje się dziwnym i niehumanym syllogizmem — o mrocznych przesłankach, lecz nieubłagany kierunku. Każdy z nas, przez pewien okres czasu, był łupem

takiego stanu rzeczy. Trzeba walk zaciekłych; by uratować siebie z pod tej drugiej natury, zagłuszającej właściwą. (Znam to lepiej, niż ktokolwiek inny). I dzieje tych walk — są dziejami buntu. Szczęściem, obecna wojna — więcej niż wojna, skurcz ludzkości, położy kres wahaniom, rozwieje wątpliwości i wpłynie na nasz wybór.

Pani Marcelle Capy wybrała. Siłą książki leży w tym, że po przezów „Głos kobiety wśród walk” — przebijają się, pozbawiony sofizmatów, ideologii i retoryki, prosty, zdrowy rozsądek francuski. Ten swobodny kąt widzenia, żywy, tkliwy, niezawodny, czuły jest niezmiernie na wszelką niedolę — jak i na wszelką śmieszność.

W obłędnej epopei, w której ścierają się ludy Europy, nie brak niczego: czyny bohaterskie i zbrodnie; wzniosłe przywiązanie i ohydny interes, bohaterzy i błazni. I jeśli śmiech wśród ciężkich doświadczeń nie jest niegodnym, a jest prawdziwie francuskim, o ile większą zyskuje wartość, stając się bronią gnębionego, zdrowego rozsądku i mścicielem obłudy... Obłuda — nigdy jeszcze nie była tak obfita i straszna, jak za dni naszych, kiedy we wszystkich krajach kryje się pod maską siły. Wyściepek — mówią — hold składa nocie. Pięknie — lecz nadużywa jej. Podziwu godna komedia, w której niskie instynkty, ordynarna chciwość i zemsta chronią się pod uświęconym płaszczykiem ojczyzny! Ci Tartuffowie bohaterstwa, wspaniałomyślnie oddający na całopalenie... innych, i ci biedni, oszukani, wydani na łup Argon’owie, radzi zniszczyć tych, którzy w ich obronie stają i światła chcą im udzielić. Co za widowisko, godne Moliere’a lub Ben Jonsona! — Książka pani Marcelle Capy roztacza przed nami bogaty zbiór tych odwiecznych typów, które w naszej dobie mnożą się, jak na zbutwiałym drzewie — niezbadanych odmian — grzyby jadowite. Lecz na starych, stożonych pniach rodzą się zielone pędy i czuje się, że serce borów Francji jest zdrowe — nie tknie go trucizna.

Zaufajcie przyjaciele, którzy kochacie Francję; wiedźcie, że najprawdziwszy hold jej złożycie, zachowując zdrowy rozsądek, dobroduszość i ironię. Niech głos tej serdecznej i dzielnej książki będzie przykładem i przewodnikiem! Sądźcie sami i słuchajcie odruchów serca. Nie silcie się na wielkie słowa.

Zaufajcie! Wszystką wściekłość świata nie zagłuszy okrzyku wiary i

nadziei jedynie wolnego sumienia, śpiewu galijskiego skowronka, który wzbija się pod niebiosa.

21 marca 1916 r.

Romain Rolland.

KTÓRZY WALCZA...

Nie jesteśmy dziećmi, nie kołyszcie nas cudownymi bajdami. Mimo wszelkie wysiłki naszych „bohaterów za frontem“, wiemy, że wojna, to nie zabawa. Wiemy, że każdej dnia godziny dzieją się tragedie na poboju, że gwizdzą kule i pękają granaty na czyjaś zgubę. Wiemy, ale i czujemy całym czuciem naszym, że to nasi bracia, którzy cierpią. Jednoczymy się z nimi w ich męce?

Dlaczego milczymy? Jak dobrze zwierzyć swą skargę, jak ukojnie wesprzeć się na dłoń przyjaznej! Wszystkich nas ściga zła dola, nad wszystkim rozszalała się tragiczna zawierucha. Wspólność w dźwiganie utraconej przyniosłaby ulgę.

— Kto nie cierpiał, nie rozumie, czym jest serdeczne współczucie. Nieestety! poczucie braterstwa odnajdujemy tylko w pogardzie. Murem oddzielają się od ofiar wojny. Doszliśmy do tego, że obojętnie patrzy się na codzienne poświęcenie milionów ludzi.

Dość tego sztucznego bohaterstwa! Pozwólcie wesprzeć przyjaznym słowem wszystkich blizkich rozpacz. Pozwólcie powiedzieć tym wszystkim, którzy się gną pod ciężarem udręki na froncie czy poza frontem, że dzielimy ich biedę i że nasza współczująca, myśl ku nim bieży.

— Ci, którzy szczęśliwym dla siebie trafem zagarnęli władzę nad opinią społeczeństwa, usiłują przedstawić siebie jako najdzielniejszych wśród dzielnych i wyobrażają sobie, że naród trzeba spoić illuzjami. Ciężko skrzywdził prawdę. Płonny wysiłek, daremnie wyteżamy wzrok... Hymny rozgłosne zaintonowali...

ZIEMIA RODZINNA.

— Pociąg pośpieszny rusza, zostawia za sobą czarny dworzec, wtaacza się na równinę, rozciągając się w długi łańcuch wagonów, zapchanych podróżnymi.

Południe. Pod żarem słonecznym drga powietrze — blask razi oczy. W przedziałach duszno. Zapuszcza się stopy u okien. Na ciemnym płótnie znaczy się biała plama: „południe“. Dysząca maszyna i koła podskakujące na szynach zdają się

powtarzać to magiczne słowo: południe, południe. Pakunki są porzucone i poukładane w korytarzach. Każdy siada — gdzie może. Ten usiadł na kuferku, ów na małym koszyku. Jakiś żołnierz ustępuje miejsca kobiecie, sam przykucnął na podłodze. Po tych pierwszych przygotowaniach do podróży — poczynają się rozmowy. Rozmowy przyjazne. W miarę rozpędzania się pociągu, stają się powszechne. Padają pytania. Nie znali się przed godziną, nie spotkali się nigdy — a teraz w długiej podróży uważają się niemal za rodzinę.

Mijamy winnice w krasie purpurowych liści, dostrzega się ogromne grona, zwisające z gałęzi w ciężkich kitach, sylwety topol, prostych jak świeczki. Spokój, milczenie, odrętwienie przyrody pod żarem słońca: południe!

Prawie wyłącznie żołnierze wypełniają pociąg. Przeważają rekonwalescenci, którzy na koniec kuracji udają się do domu. Większość stanowią pracownicy z winnic; z lekkim patosem, barwnie rozpowiadają o walkach, w których brali udział. Opowiadaniami ich ma w sobie coś z zapachu pól. Ten był ranny w łopatkę, drugi w ramię, trzeci w bok, czwarty w głowę. Jednego trafiła kula w bitwie nad Marną, innego na zachodzie, inny znów nie pamięta dokładnie miejsca, mówi tylko:

— Tam w górze!

I ramieniem wykonywa nieokreślony ruch ku północy.

Mają wszyscy szczere, twarde chłopskie twarze, ręce ich, spragnione ruchu, zakreślają jakieś szalone gesty.

Chudy i blady piechur, który wśród rozmownych sąsiadów nie odzywał się ze swego kąta, wdycha nagle, jak gdyby ożywiony przypływem świeżych sił:

— Podnieście story, mówi, chce spojrzeć.

Stora skreca się i w ramach okna jawią się promienne obrazy. Winnice, ciągle winnice. gdzieś tam czerwone dachy osad. Z purpurowego gąszczy winnic wylania się cmentarz, ocieniony cyprysami. Lecz nawet ten szmat ziemi, ofiarowany śmierci — zatracił smutek w blasku południa. Z pól, rozpalonych słońcem, płynie taka ożywcza fala zdrowia i siły, że piechur uśmiecha się i krew zabarwia mu policzki.

Jeść mi się chce, mówi.

Towarzysz jego woła radośnie:

— Nareszcie!

I dobywając prowianty, wyjaśnia zaciekawionym podróżnym, że chory od dwunastu godzin nie jadł.

Nie pora teraz na śmierć.

Kraje chleb, zimne mięso, podaje butelkę, w której wino mieni się barwami topazu. Chory zjada chciwie, zapija porządnie winem i w szczęśliwym uśmiechu rozchyła wargi. Starczyło powiewu z pól rodzinnych i promiennych obrazów ojczyzny, by chęć do życia wstąpiła w biedaka.

Taka przemiana dokonywa się u wszystkich. Pociąg mknie, a rekonwalescenci rozprawiają z zapalem, rozbarwieni, jak dzieciaki. Zapominają o okrucieństwach wojny. Prężą się mięśnie. Pod wyszarzającym mundurem swobodnie oddychają piersi.

Południe! Słońce, winnice, promienne niebo. Bezgraniczna radość unosi się nad rolą.

Wita ich ziemia rodzinna.

PRZED ODJAZDEM.

Zwolna zapada szara noc. Zdałoby się, że deszcz popiołu spływa na miasto. Zapalają się płomyki gazu, rozjaśniają okna. Księżyc wschodzi.

Umilkły gwary na wielkim placu, gdzie olbrzymia sylweta katedry wietrzy się na tle nieba swymi smukłymi wieżyczkami.

Piękną jest cisza, pięknie splatają się linie, piękna jest noc.

W pobliskim ogrodzie śniły się już barwy kwiatów, pszczoły nie krążyły wokół kielichów. Słodką woń heliotropu unosi się upojna.

Na ławce dwie osoby. Żołnierz i kobieta. Nie można rozeznaczyć rysów, tylko w rozchylonych uśmiechem ustach kobiety połyskują zęby.

Nic nie słychać. Rozmawiają? Milczą? Przytuleni, ze splecionymi dłońmi, zapatrzeni w siebie, zapomniałi o całym świecie.

Żołnierz odjedzie jutro, lub pojutrze. Jest gotów do drogi. Lecz przedtem przeżywa swą miłość, marząc z kochanką w wieczór jesienny, w ogrodzie — wśród woni heliotropów.

Od tej pary, od wysmukłej katedry wybiega w bezmiar przestrzeni przemożne ludzkie pragnienie, które było i będzie żyć, trwać w życiu i pozostawi po sobie pomnik lub serce, gdzieby wyryty był ślad naszego bytowania.

Zawsze najgłębszy, pogański instynkt życia nakazuje ludzkości przedłużania istnienia poprzez kataklizmy i poprzez wieki.



W płonącym lesie.

W cichy szept pacierza zamienia się pieśń. Jest jako owa harfa Lilli Wenedy, co ma zwyciężyć narody. Cóż bowiem z tego, że w słodkim poszumie słów upajających zewrwie się z ust poety zaklęcie:

Niech wyją wichry, burze grzmia,
Niech cały świat się pali. —
Byle nie zmiłkła dębów pieśń,
Byle las śpiewał dalej!..

Z za słów tych wyziera delikatne oblicze smutku i zadumy. Zadumała chadzała szlakami starej Warszawy. Smutek spowiadał się i snuł ciche, rzewne rozmowy w „Listach miłosnych“, patrzył w wyteżeniu świadomości w dusze „dogaress“ i marzył, „...zanim światła pogasną...“ O czym marzył? Odpowie na to Z. Rabska, poetka misterynych sonetów, rozkochana w starych welinach:

„Kocham słońce, bo grecka zrodziła
mnie' sztuka
I greckiego rzeźbiarza pogodnie
natchnienie!
Czemuż oko, co piękna w kolo siebie
szuka —
Napotyka szpetoty ponure wejrzenie?
Czyż wieki stać tak będziem, wprost
siebie bez rady:
On — mędrzee wszechbolesci ja —
córą Hellady?...

Tak pyta się Tanagra, patrząc na Buddę w rzeźbionym sonecie Zuzanny Rabskiej, odpowiadając równocześnie na tę rozbieżność marzeń i współczuć, jakie w sercu swoim żywi, autorka „Płonącego lasu”.

Nowy bowiem zbiorek poezji Zuzanny Rabskiej spowiada duszę skapaną w promieniach najpiękniejszych marzeń, ale duszę współczującą, tkliwą, duszę zaniepokojoną pożogą i krwią, nędzą i śmiercią. Kult sztuki ratuje tu serce, miłość harmonji i kształtu ucisza smutek. Wiersze p. Zuzanny Rabskiej są przeżito jednym z najciekawszych zjawisk literackich współczesnych.

Na tomik ten, zatytułowany „W płonącym lesie“, złożyły się rozdziały: „Ogród zamknięty“, „Za szkłem“, „Prymitywi“, „Przed obrazem mistrzów“, „Sonety do dziecka“, „Nie-wolnica“, „Wrażenia egzotyczne“ oraz przekłady z Leconte de Lisle'a, E. Verhaerena, Fr. Jammesa, R. M. Ril-kého i Remy de Gourmonta.

Gama tematów bardzo rozległa. Gama odczuć szeroka. Przyroda mówi w poezjach p. Z. Rabskiej językiem prostoty i zdobywa się na tony du-

żej szczerości. Dosyć jest wziąć do ręki zbiorek i odczytać sobie pieśń-westchnienie „Przyjmij mnie w swoje szumiące głębie, lesie zielony“, by słowa te zaróżowiły się krwią serdeczną, by stały się spowiedzią czytającego. Ty-



Zuzanna Rabska.

nostalgicznej krasie. Cykl „sonetów do dziecka” — to poemat niespotykany, o wdzięku szlachetnym i pełnym brzmienia słowa polskiego. A jakie tony mówią przez erotyki Zuzanny Rabskiej! Zazwyczaj kobiety-poetki w swoich wynurzeniach serca nie znają umiaru. U Rabskiej panuje natomiast taka harmonja, takie piękno kobiecej wstydlivosti, że graniczy o ramie z przerafinowaniem, a mówi jednak o uczuciach żywych, szczerych.

„Przysłonił księgę całun z kwiatów,
Wiedzące róże tracą woń —
Nie tyś te kwiaty stał mi dzisiaj,
Nie tknęła nawet ich twa dłoń...
A jednak śnię, że są od ciebie...
(Tesknota twa mój przeszła próg...)
Bo wiem, że białe kwiaty żalu
Byłbyś mi przysłał, gdybyś mógł“
(str. 48).

Oto jak dyskretnie spowiada się
z uczuć Muza Z. Rabskiej.

Pogłębiła też w sobie poetkę tonny dawne, która rozsnuwała naokół dzieł sztuki, rzadkich ksiąg starych, stylowych mebli. Dusza przedmiotów tych mówi coraz bezpośredniej. Głęboko, zatracając się zainteresowanie intelektualne, pozostaje czyste wzruszenie artystyczne.

Jako przykład, dosyć jest od-
czytać wiersze p. t. „Księga zaklęć
Warneńczyka“. Z. Rabska, jako tło-
maczka, dawała zawsze rzeczy wy-
czelowane, jubilerskie. Zamieszczo-
ne przekłady poetyckie w zbioru o-
becnym są też na miarę Benwenuta
Celliniego wyszlifowane; nieskazitel-
na ich linja musi przekonać nawet
najbardziej wybredne gusta. Literac-
kie majsterstwo mówi tu samo za
siebie.

Zuzanna Rabska załączyła też kilka wierszy na tematy wojenno-aktualne. I w nich znać promień łaski odczucia i zrozumienia dla tego, co się dzieje obecnie.

Ale w „Płonącym lesie“ przede-
wszystkiem mówią tony rzewnej za-
dumy kobiecej, woła słodki głos ma-
cierzyństwa, spowiada się intelekt
rozmniowany w kulturze europejskiej
przedniej...

Miłośnicy wiązanej słowa polskiego powitają zbiorek poezji Z. Rabskiej z dużym zainteresowaniem. Jest on przecież wymownym dowodem, że poetka ta stale rozszerza i pogłębia pole swoich wzruszeń artystycznych.

Eust. Czekałski.



Z literatury.

Jak zawiązać pracę harcerską.

Ruch harcerski rozwija się u nas bardzo pomyślnie. Niezbędne są więc wskazówki ludzi doświadczonych w tym kierunku dla tych, co zamierzają się poświęcić tej pożytecznej i cłubnej pracy. Doświadczenie cudze może przysłużyć chronić przed błędami. Warto jest przeto korzystać z cudzych, dobrych rad.

Taką właśnie dobrą radą chce posłużyć p. Tadeusz Skotnicki, autor publikacji „Jak zawiązać pracę harcerską”. Daje on cały szereg wskazówek w rozdziałach „Od czego zacząć”, „Metodyka i program pracy”, „Wycieczki krótkotrwałe”, „Pierwsza gawęda”. P. Skotnicki w ten sposób przytem uświadamia sobie ideał Harcerza:

„Idealem harcerza jest człowiek zdrowy i silny fizycznie, etycznie czysty, umiejący sobie radzić w każdym wypadku, pomagający bliźniemu radą i uczynkiem, zawsze pogodny, nigdy nie rezygnujący z raz wytykniętego celu, zdolny i chętny do pracy obywatel, karny syn ojczyzestego kraju, człowiek pewny, nie zawadczący nigdy położonego w nim zaufania, o twardych przekonaniach, bo hasłem jego „Bóg i Ojczyzna“, zawołaniem „Czuwaj“.

Z tego zdania wypływa wyraźnie program wychowawczy p. Skotnickiego. Broszura „Jak zawiązać pracę harcerską“ jest książką, która może przysłużyć się dobrze sprawie naszego harcerstwa.

